Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 2. Poznań dnia 9. Kwietnia. 1838.

Literatura zagraniczna.

Edward Lytton Bulwer.

Między nieprzeliczonem mnóstwem zagranicznych pisarzy romansów, nie znajdujemy żadnego, któryby bardziéj zasługiwał na uwagę czytelników a szczególniéj pięknych czytelniczek naszych, niestety! zbyt jeszcze w błachych i mdłych powieściach Janina i Kocka gustujących, — jak Bulwer. Wyższe filozoficzne usposobienie i prawdziwie szlachetny sposób myślenia tego autora odbija się w każdéj jego powieści: dążność ich i zasady są te same, które on jako reprezentant ludu angielskiego z mównicy głosi. Jak w W. Szkocie znalazło dawne możnowładztwo angielskie doskonałego malarza, wywołującego jego życie z całym urokiem świetnéj wyobraźni; tak my w Bulwerze mamy reprezentanta obecnych czasów, naszych krzyżujących się życzeń, naszych filozoficznych myśli, błogą może przyszłością brzemiennych nadziei, które on częstokroć żywszemi jeszcze kolorami, w czarującéj formie powieści, całemu ogółowi przekłada.

Edward Lytton Bulwer, z starożytnéj majętnéj familii z Norfolk, urodził się roku 1803. W trzecim roku życia utraciwszy ojca, odebrał troskliwe wychowanie od matki, poczem dla ukończenia edukacyi udał się do Cambridge, gdzie poema jego o snycerstwie otrzymało nagrodę. — Z dzieł prozą pisanych najpierwsze F a l k l a n d, już mu pewną wziętość zjednało; lecz właściwie dopiero P e l h a m zwrócił nań uwagę i zagranicznéj publiczności i zapewnił mu nieśmiertelną sławę. Po Pelham nastąpiły w krótce inne romanse, jakoto: D e v o r e u x, P a w e ł C l i f f o r d, R i e n z i, O s t a t n i e c h w i l e m i a s t a P o m p e j i E u g e n A r a m. Tem ostatniem dziełem szczególnie pozyskał Bulwer Europejską sławę. Eugen Aram należy do najpiękniejszych i najlepiéj osnowanych romansów. Ten jego bohater namiętnie kochający nauki, odludek, a jednak dla ludzkości poświęcający swą spokojność a nawet i życie; — ta Madelina czuła, piękna, skromna, kochająca z całym zapałem miłości; — te głębokie pomysły, filozoficzne pojęcia, porywająca wymowa — wszystko jak pięknie, jak umiejętnie spojone!

Równie wyborne jak wymienione są i poźniejsze powieści jego, mianowicie T h e p i l g r i m s o f t h e R h i n e i t h e S t u d e n t. Lecz Bulwer nie przestał na sławie w literaturze pięknéj i polityce sobie zjednanéj. Dziełem, które w zeszłym roku wydał, okazał uczonemu światu, że pióro jego poważną historyczną osnowę z równym talentem i gruntownością rozwinąć zdoła, jak powabny poezyi przedmiot. Dzieło to wyszło w dwóch tomach pod nazwą: Athens, its rise and fall (Atheny, ich wzrost i upadek). Pewien angielski krytyk tak się o niem wyraża.« Że P. Bulwer pilnie się do nauk przykładał, i wzorowe posiada wykształcenie, o tem byliśmy przekonani. Przecież prędzéjby się był kto spodziewał od Dra Wakley traktatu o metafizyce, lub od P. Warburtona zasad teologii, niżeli po Bulwerze gruntownie wypracowanego dzieła: O przyczynach wielkości i upadku Athen. Uważając jego żywość fantazyi, jego wesołość, jasność i ruchawość umysłu, styl często sarkastyczny, ktoby był w nim spodziewał się znaleść trudne przymioty poważnego badacza dziejów? Zajmując tak długo wyobraźnią i dowcip utworami lekkich, żartobliwie poruszających romansów, jakże mógł nabyć owéj mozolnéj nauki, trafnéj historycznéj krytyki, badawczéj rozwagi, zimnéj rozmyślności i jednostajności sądu, i owéj surowéj a sprawiedliwie odważającéj bezstronności dziejopisarza? Tylko geniusz Bulwera zdołał rozwiązać to dziwne zagadnienie!«

Najnowszem dziełem znakomitego tego pisarza jest dziś Ernst Maltravers. Romans ten jest tak zajmujący, iż o nim obszerniéj w następujących numerach pisma naszego mówić będziemy. Tymczasem udzielamy czytelniczkom krótkiéj powieści tłómaczonéj z Angielskiego z The Student.

Próba miłości.

Powieść moralna dla małżonków.

Wyjątek z romansu Bulwera pod nazwiskiem »Uczony« (the student).

Nigdy dwie osoby nie były namiętniéj do siebie przywiązane jak Adolf i Celestyna. Ich miłość poszła w przysłowie... było to więc — nieszczęśliwe przywiązanie! Niema miłości tak serdecznéj, któréjby ludzie nie stawiali przeszkód. Szczęśliwy! kto ich nie doznał.

Adolf był majętnym i wysokiego urodzenia, Celestyna pochodziła z znakomitéj, ale ubogiéj familii. Obie rodziny żyły w niezgodzie; familia Adolfa była nadzwyczaj próżną, Celestyny zaś nadzwyczaj dumną. A tak gdyby nawet ojcowie żyli byli w najściślejszéj przyjaźni, niebyliby oni nigdy pochwalili miłości dzieci; ojciec Adolfa —, dla tego, że sobie życzył bogatéj partyi dla swego syna; — Celestyny zaś, ponieważ był za dumnym, aby się poczuwać do wdzięczności, a znał dostatecznie świat i wiedział, że to łaskę oznacza, gdy majętny obywatel bierze za żonę córkę bez posagu. Celestynę chciał ojciec wydać za bogatego bankiera, od któregoby mógł pożyczać pieniędzy, a udzielał mu za to swéj protekcyi. Jest to bowiem prawidłem dobrego tonu, że plebejusz powinien szukać względów. Jego obowiązkiem jest, poczuwać się do czułéj wdzięczności, gdy jego usługi łaskawie przyjęte zostają. Wzmagająca się miłość kochanków jeszcze nie była jawną, gdy krewni już się na nię mocno oburzyli. Nie podpada to bowiem żadnéj wątpliwości, że dzieci nasze, naszemi tylko mają patrzeć oczyma, czuć naszém sercem. Nie wolno im bydź szczęśliwymi, tylko w sposób przez rodziców im wskazany. Te prawdy przez się tak jasne, nie zdołały wszelako zachwiać przywiązania Adolfa i Celestyny. Chociaż tę zamykano, a tamtego strzeżono; jednakowoż często do siebie pisywali, a niekiedy się i widywali. Miłość ich nie była przemijającą namiętnością; mimo wszelkie trudności, tysiączne przeszkody i niebezpieczeństwa, stawała się coraz gwałtowniejszą. Celestyna z stałością odmówiła rękę dwóm kupcom, urodnym i rozkochanym młodzieńcom, również staremu bankierowi, któryby ją w przeciągu roku był zostawił wdową. Adolf, wesoły, piękny Adolf, wszelkich miłostek i zwycięstw miłosnych się wyrzekł; wszystkie kobiety w jego oczach straciły urok odtąd, jak ujrzał Celestynę. Lecz, chociaż czas rozżarzył ich namiętność, jednak nie powiększył nadziei, aby kiedy ta miłość pomyślnym skutkiem uwieńczoną została; zaczęli wątpić i rozpaczać. Więdły różane lica Celestyny; z jéj ust znikł wszelki uśmiech, postać piękna straciła pełność; ciągle zalewała się łzami, i tak mocno wzdychała, iż to przerażało serca wszystkich sług domowych. Nakoniec wpadła w chorobę; biedna dziewczyna! chciała umrzeć z miłości! Gwałtowniejsza miłość Adolfa zgubniejszą jeszcze była. Jego puls bił jak w paroxyźmie — mowa często przerywana — jego pradziad umarł w obłąkaniu, Adolf też same okazywał znaki.

Przestraszony, ale nie ubłagany ojciec rozkochanego Adolfa przemówił do niego surowo: wyrzeknij się téj nierównéj miłości, chociaż tylko na czas niejaki. Ta zdrożność młodzieńcza jest tylko skutkiem braku zatrudnienia. Poświęcę połowę majątku, aby ci wyrobić posadę u dworu, którą tak często uważałeś za najwyższy cel twych życzeń. Mój synu! jesteś młodym, odważnym i masz ambicyą; twój majątek, twoje imie... Chętnie dla ciebie poniosę tę ofiarę, jeżeli opuścisz Celestynę.

Adolf ścisnąwszy rękę ojcu: »Niepodobna« mruknął; »jedno jéj wéjrzenie przewyższa wszelkie marzenia sławy.« To mówiąc wyszedł z pokoju.

Nakoniec nasi kochankowie przekonawszy się, że nie podobna żyć razem, ułożyli w rozpaczy plan, raczéj umrzeć, niż żyć w rozłączeniu. Radbym posiadał listy, które do siebie pisywali w téj smutnéj materyi. Nic nie znam tak prostego, tak rozczulającego. Kto je czytał, myślałby, że to najskromniéjsze żądanie w świecie, że osoby prawdziwie do siebie przywiązane powinny bydź zawsze opatrzone w zjadłą truciznę; bo któż wie, jakie zdarzenie mogłoby ich niespodzianie na zawsze rozłączyć! a w tym przypadku, jak daleko miléj umrzeć!

Obydwaj kochankowie zgodzili się na to, aby zażyć jednéj nocy truciznę. Ostatnie ich listy były skropione łzami. Wybiła godzina jedenasta. Adolf odszedł do swego pokoju, wziął truciznę w rękę, spojrzał na nię smutno. »Jutro«, rzekł, zamyślony — »jutro!« i wyciągnął korek, »jutro! jak to brzydko pachnie! jutro mam skończyć? to serce» — wstrząsnął flaszeczkę — »jak się burzy! to serce jutro bić przestanie! — nasi okrutni rodzice nie zabronią nam wspólnego grobu.« To rzekłszy głęboko westchnął i powtarzając imie Celestyny, śmiertelny wychylił napój.

Tymczasem ojciec i matka Adolfa jeszcze jedli wieczerzę. Stary kredencerz, po wyjściu Adolfa z pokoju, oczy sobie przecierał, krzątał się tu i owdzie, jako ów, który ma coś na sercu. Ale że Pan był głodny, a Pani bardzo śpiącą, — nikt z nich na starc nie uważał. Nakoniec, gdy już ostatni sługa si

oddalił, starzec się jeszcze pozostał, trzy razy szklanki ustawiał, i trzy razy karafinki poprawiał.

»Już dobrze, niech tak stoją, zamknij drzwi za sobą.« — »Dobrze Panie, dobrze — czyś W. Pan? hm —« »Czym co?« — »Panie, ale nasz młody panicz —« — »Młody panicz? cóż więc?« — »Ach! Panie, zdaje mi się, że to nie jest bez kozery. Nie uważałeś na jego spojrzenie, jak wychodził z pokoju?« »Ma foi! byłem zajęty kurczęciem«. — »A Wielmożna Pani? wszakże jéj tak gorąco rękę ucałował?« »Tak prawda, (śpiąca) ma wyborne serce, le cher enfant!« — »Wolę milczeć, Wielmożna Pani! ale Panicz od dwóch lub trzech dni tak dziwaczne rzeczy prawił, i przez cały poranek psom dawał truciznę, dla doświadczenia jak mówił...« — »Truciznę!» zawołała matka, zupełnie roztrzeźwiona »czy ma przy sobie truciznę?» — »Pełne kieszenie, Wielmożna Pani.« — »O nieba!« zawołał ojciec, »to bydź nie może, jeżeli jest w rozpaczy, gotów na wszystko. Jego pradziad umarł z pomieszania zmysłów. Pójdę natychmiast do jego pokoju.« — »Ja także« zawołała matka. Biedni rodzice pośpieszyli do pokoju Adolfa; uchyliwszy drzwi usłyszeli stękanie; znaleźli go wyciągnionego na łóżku, był blady, miał wzrok obłąkany; na stole stała flaszeczka, na etykiecie: »trucizna«; flaszeczka była próżna. »Mój synu! mój synu! — przecież nie byłeś tak bezbożnym, — przecież nie — mów — mów!« — »Ach cierpię okropne męczarnie! ach! umieram. Opuśćcie mię! Celestyna także wzięła truciznę — nie mogliśmy żyć razem — okrutni rodzice — gardzimy wami i umieramy!« — »Żyj, mój synu, żyj, a Celestyna będzie twoją» rzecze matka na pół w spazmach.

Ojciec czym prędzéj pobiegł po lekarza. Ten mieszkał w blizkości Celestyny, a pod czas gdy on doprawiał lekarstwo przeciw truciznie, ojciec Adolfa pobiegł do mieszkania Celestyny ojca i spiesznie go uprzedził o zdarzeniu, o którem się w téj chwili dowiedział. Biedny starzec spieszno pobiegł do sypialnego pokoju córki. Na szczęście znalazł swą żonę u niéj. Dawała ona jéj jakąś dobrą radę — a w takim razie zwykły się kobiety za nadto rozwodzić. Celestyna niecierpliwie czekała na matki odejście; umierała z niecierpliwości, aby umrzeć. Wtém wpada ojciec: »moje dziecko! czy wiesz? co się stało? Jeszcześ przy życiu, Celestyno! wzięłaś już truciznę? ten młody szaleniec już . . . . .

»Już!« zawołała Celestyna, załamując ręce, »już! więc czeka na mnie. Zobaczysz, że ci słowa dotrzymam!« Przyskoczyła do łóżka, i wyciągnęła flaszeczkę z pod poduszki. Wyprzedził ją ojciec, wyrwał flaszeczkę z ręki, a córka w taką wpadła słabość, iż ta większém groziła niebezpieczeństwem, niżeli sama trucizna.

Jakkolwiek była przesadzona miłość naszych kochanków, kochali oni się jednak istotnie, gorąco, bezinteresownie i z całego serca. Żadna miłość pomiędzy tysiącami nie jest tak mocną, ani nie obiecuje bydź tak trwałą.

Adolf nie umarł; lekarstwo przeciw truciznie w sam czas podano, — zdrowie wróciło. Choroba Celestyny była niebezpieczniejszą; wpadła biedna w malignę, i kilka tygodni zeszło, nim odzyskała zdrowie i przytomność umysłu.

Inni rôdzice nie zdołaliby się temu sprzeciwić; zwyczajnym kaprysom łatwo się oprzeć można; ale gdy młodzi ludzie występują z trucizną i maligną — il faut céder. Nadto takie wypadki cały dom deranżują i pozbawiają spokojności. Zawsze miło wrócić do dawnego trybu. Tak więc starzy się pogodzili, a młodzi się pobrali. A ponieważ młoda para była przekonaną, że jedynym celem życia było ich wzajemne towarzystwo, niebawem pospieszyli do słodkiéj samotności wiejskiéj. Mieli przecudną willę i piękne ogrody — oboje wykształceni, urodni, mili, młodzi —, rozkochani. Niepodobna, żeby się nudzili. Jedno drugiego z oka nie spuszczało.

»Ach Adolfie, zdrajco, gdzieżeś to był?« — »Tylko kilka razy wystrzeliłem w lesie, mój Aniołku!« — »Jakto? bezemnie? oh! przyrzeknij mi, że tego drugi raz nie będzie.« — »Kochaneczko! jak najchętniéj ci to przyrzekam.»

Inną razą: »Jak to, Celusiu! całe trzy godziny szukałem cię! gdzieżeś to była?« — »Nie gniewaj się, mój Adolfku; dawałam ogrodowemu przepis, jak ci miał urządzić altankę do czytania. Chciałam ci zrobić surpryzę.« — »Jedyna, najdroższa Celsiu! ale trzy godziny, toć to wieczność bez ciebie! przysięgnij mi, że nie wyjdziesz, nie powiedziawszy mi wprzody, gdzieby cię można znaleść.« — »Mój jedyny, drogi, najdroższy Adolfku! jak ja cię kocham, oby moje towarzystwo zawsze tobie tak było drogiem!«

Taki sposób życia jest dla wielu powabnym na kilka dni. Lecz Adolf i Celestyna tak się serdecznie kochali, że to trwało kilka miesięcy. Co z początku było namiętnością, późniéj stało się zwyczajem; a jedno wyrzucało drugiemu brak przywiązania, jeżeli jedno z nich lub drugie oddało się kiedyś jakiemu oddzielnemu zatrudnieniu.

Nie mając nic do czynienia, jak tylko patrzeć na te twarze, które im tak piękne się bydź zdawały, było niekiedy trudno wstrzymać się od ziewania, i niedawno toczyła się między nimi rozmowa następującéj treści: »Adolfie, moje życie, ty się nigdy ze mną nie bawisz, zamknij tę przeklętą książkę, którą ustawicznie czytasz!« — »Celsiu, mój aniółku, ty mnie nie słuchasz. Ja ci opowiadam moje podróże, a ty na mnie patrzysz jak na raroga?» — »Mój najdroższy Adolfku, bo mnie sen zmorzył.«

Pewnego rana, Adolf obudziwszy się i przewróciwszy w swém łożku, miał oczy zwrócone na żonę, która jeszcze spała. — »Czy podobna?« pomyślił sobie, »jam tego nigdy przedtém nie widział« — spojrzał jeszcze raz — znamię nad okiem! Adolf wstał, ubrał się, był ponurym i zamyślonym. Mąż i żona usiedli do śniadania. Celestyna była w dobrym humorze, Adolf smutny i niecierpliwy. »Wyjedźmy dziś konno,« rzecze Celestyna. — »Kochanku, głowa mię boli.« — »Biedny! to czytajmy ten nowy romans.« — »Moja droga, nie krzycz tak mocno!« — »Kto? ja?« Celestyna, patrząc wzrokiem na Adolfa pełném wyrzutów, postrzegła, pierwszy raz, coś w jego oczach, co ją uderzyło, spojrzała jeszcze raz, — »wielki Boże! pomyśliła sobie, »Adolf z pewnością zyzem patrzy.« Adolf zaś mruczał sobie pod nosem: »znamię znacznie urosło od rana.«

Nie podobna opisać, jakie wrażenie to nieszczęsne odkrycie uczyniło na Adolfie. Nie ustannie o tém myślał. Nie miał się na co uskarzać, ale znamię na twarzy z pewnością nie zdobi. Celestyny piękność rozkwitła po jéj zamęściu. Każdy inny widział jéj wdzięki. Ale Adolf nic nie widział jak tylko znamię na twarzy. Jéj płeć kwitnąca i delikatna, postać okrąglejsza i zupełniejsza, chód poważniéjszy. Ale cóż po tém? kiedy fatalne znamię wszystko psuło. Zdawało się w oczach Adolfa, że rośnie od dnia do dnia, i że niezadługo całą twarz zajmie; a nawet rozumiał, że po niejakim czasie ujrzy swą ubóstwianą Celestynę całą tylko znamieniem. Ukrywał on swe cierpienie jak tylko mógł, ponieważ był dobrze wychowanym i z natury delikatnym; a kobiety nie lubią, aby mówiono o ich wadach, na które same zwykle są ślepe; — ukrywał swoję dolegliwość, ale zaczął o tém myśleć, żeby dobrze było, mieć osobne pokoje.

(Dokończenie nastąpi.)

Literatura krajowa.

Pojedynek Adama Tarły, Wojewody Lubelskiego, z Kazimierzem Poniatowskim, Podkomorzem koronnym, odbyty r. 1744, pod Marymontem.

(Wyjątek z rękopismu dotąd drukiem nieogłoszonego).

Ojcowie nasi mieli chwalebny zwyczaj zapisywać ważniejsze zdarzenia, publiczne i potoczne, wieku, w którym żyli; a tak każdy niemal obywatel był historyografem swojego czasu i swojéj okolicy. Jeżeli już niemiał co zapisywać, notował o spustoszeniach morowego powietrza, o pomorze bydła, o powodziach, suszach, burzach, nieurodzajach i t. d. Tymsposobem tworzyły się szacowne materyały do historyi krajowéj, które w miarę zdolności i stanowiska, jakie piszący w społeczności zajmował, stawały się więcéj lub mniéj zajmującemi. Zwyczaj ten dotrwał, lubo nie tak powszechnie, aż do upadku Polski i z téj epoki znajome są Publiczności Pamiętniki rozmaitych osób po wielu rękach krążące. Z tych wszystkich Pamiętników, zdaniem naszem, najwięcéj wartości historycznéj mają Pamiętniki nieznajomego autora, z których kilka wyjątków w pismie naszem umieścić postanowiliśmy. Autor ich człowiek z głębokim rozsądkiem, zapatrujący się na ludzi i zdarzenia wielostronnie, a nadto dokładnie władający piorem, potrafił pismu swemu nadać jakiś urok ukryty, który jest jedną z głównych okras dzieł historycznych. Opisując ważniejsze zdarzenia polityczne swego czasu, jakiemi była rzeź humańska, konfederacya barska i t. d. nie gardzi on potocznemi, ale czyni pomiędzy niemi wybor, a przyznać trzeba, wybór bardzo dobry. Potoczne bowiem zdarzenia w pamiętnikach jego malują obyczaje wieku, w którym żył, charaktery osób, przesądy i t. p. a łącząc się tymsposobem ściśle z dziejami narodowemi, są istotną ich częścią, ogół interesującą. Będziemy poźniéj mieli nieraz sposobność przekonać czytelników o prawdzie naszego sądu o tych pamiętnikach wyrzeczonego, a teraz przystępujemy do wyjątku z nich głośnego w swoim czasie zdarzenia, to jest pojedynku Adama Tarły, Wojewody lubelskiego, z Kazimierzem Poniatowskim, Podkomorzym koronnym.

»Tegoż roku 1744 dnia 16. Marca pod Marymontem młynem sławnym z mąki pszennéj o ćwierć mili od Warszawy zginął w pojedynku sławny reputacyą między Pany i męztwem Adam Tarło, Wojewoda Lubelski z okazyi takowéj. Miał on żonę, ale starą babę, z którą w dobrach osadzoną nie mieszkał,

ale pilnując publik jako Senator, a do tego młody i choży idąc za zepsuciem serca, kochał się w niejakiéj Anusi (tak ją powszechnie zwano) naturalnéj córce L........, Wojewody Krakowskiego i Krysty mieszczki Krakowskiéj, którą L........ Krystowi odmówił a potem za pośrednictwem wielkich pieniędzy nabywszy, i o rozwód postarawszy się, we dwa roki po narodzeniu Anusi, za żonę pojął. Anusia wyrosłszy na piękną Pannę haniebnie wpadła w serce Tarłowi Wojewodzie Lubelskiemu, który nie śmiejąc opuszczać swojéj babki dla pieniędzy i zapisów, a spodziewając się lada kiedy sprawienia jéj pogrzebu jako dogorywającéj w latach, zawczasu sobie serce i rękę do przyszłego ślubu u Anusi wysługował, czyniąc jéj w każdéj kompanii pierwsze honory.

Na balu u Bielińskiego, Marszałka wielkiego koronnego wziął najpierwéj w taniec swoję Anusię. Udał się potem do Poniatowskiéj wojewodzianki natenczas mazowieckiéj, potém Branickiéj hetmanowéj wielkiéj koronnéj. Lecz damy urażone tem przeniesieniem Anny nad siebie, zaraz uradziły między sobą, ażeby żadna z wojewodą nie szła w taniec. Gdy tedy zapędzony do wojewodzianki Mazowieckiéj Tarło, odebrał od niéj tę odpowiedz: z Kimeś W Pan tańcował pierwszy taniec, z tą tańcuj i drugi, jak był ognisty człowiek, tak zaraz obróciwszy się do kompanii, zawołał na cały głos: będę go miał za szelmę, kto z wojewodzianką mazowiecką pójdzie w taniec. Wojewodzina mazowiecka matka, kobieta dumna i męzkiego serca, na te słowa rozkazała Kazimierzowi, podkomorzemu koronnemu, synowi swemu, aby natychmiast szedł do tańca z siostrą. Skoro z nią stanął do tańca podkomorzy, wojewoda lubelski zawołał na niego: otóż jesteś szelma. Podkomorzy odbił to słowo na wojewodę, ztąd rozruch i rwetes do szpady (oba albowiem nosili się w francuzkim stroju). Ale gospodarz balu, surowy, pogroziwszy obiema aresztem za porwanie się do oręża pod bokiem królewskim, i za nieuszanowanie domu swego, kazał natychmiast obiema wyniść z kompanii. Posłuszni rozkazowi którego lekceważyć u Bielińskiego niebezpieczno było, wyszli: a wychodząc dali sobie słowo na pojedynek, który podług zmowy odprawili trzeciego dnia pod Piasecznem o mil trzy od Warszawy na pistolety z koni. Wojewoda zabił konia pod podkomorzym, który padając za ziemię wołał przejęty strachem, ile młody i w pierwszem polu takowéj okazyi: »kocham Pana Wojewodę,« Za pośrednictwem sekundantów ścisnęli się na placu i z dobrą manierą rozjechali. Nim przybyli do domów swoich już w każdym domu wiedziano, co się stało na pojedynku. Gdy podkomorzy stanął przed matką, chcąc ją w rękę pocałować, zamiast znaku ukontentowania, że zdrów powrócił; odebrał od niéj policzek z takiem przywitaniem: wolałabym cię widzieć trupem z placu przyniesionego, niż z taką ochydą powracającego. Nie zów się synem moim, jeżeli téj hańby nie powetujesz. Podkomorzy ledwo przez połowę czując w sobie takiéj zręczności, jaką miał do oręża wszelkiego rodzaju wojewoda; nie radby się był więcéj z nim kłócić; lecz dla matki rad nie rad musiał. Pogodziwszy się więc i pokwitowawszy z zatargu po pierwszym pojedynku, trzeba było szukać nowéj do kłótni przyczyny. Tę dały paszkwile z obu stron biegające. Wojewoda srodze tchnięty honorem swojéj Anusi, najbardziéj w tych paszkwilach szarpanym, wyzwał powtóre podkomorzego, dawszy mu na wolą wybór placu i oręża. Podkomorzy determinował plac pod Puławami, majętnością wuja swego Czartoryskiego wojewody ruskiego; oręż, pistolety. Pojedynek ten nie doszedł; przeszkodzony aresztem królewskim (o który, jak mówiono, postarała się familia podkomorzego, nie dufając szczęściu i widząc możniejszego w partyą wojewodę). Pogodzili się powtórnie i przeprosili za wdaniem królewskiem przez posłanego z aresztem; lecz to było na pozór tylko i do czasu nastrojenia pewniejszéj zguby wojewodzie. Podkomorzy dotąd wyzywany wyzwał wojewodę, plac pojedynku pod Marymontem wyżéj namienionym, termin dwóch niedziel dla przygotowania się słusznego w sekundantów i przyjaciół naznaczywszy. Na nieszczęście nikogo nie było pod ten czas w Warszawie z familii wojewody, przeciwnie zaś z strony podkomorzego wszyscy się pozjeżdżali. Domównicy wojewody i konfidenci przenikający rzeczy z obu stron, odradzali mu wszelkiemi sposobami, aby na ten termin nie pozwalał, aby go na inny czas odłożył, ażby się w równą partyą przyjaciół i krewnych przysposobił. Ale wojewoda, jak był serca wielkiego, tak nie chciał słuchać żadnéj perswazyi. Obrał sobie jednego towarzysza hussarskiego za sekundanta, z którym przy kilku sługach swoich ten pojedynek odprawił. Zrobił testament i cały dom swój rozporządził. Gdy mu do siadania wyprowadzono konia; ten, lubo w inne czasy powolny, tak rżał, miotał się i nogami grzebał, że dół nie mały na dziedzińcu wykopał. Mówili tedy słudzy z płaczem do Pana, aby tym ra-

zem nie wyjeżdżał, że oto koń miotaniem swojem nadzwyczajnem i dołem wykopanym przestrzega Pana, że zginie. Lecz wojewoda niedbając na żadne prognostyki, dosiadł gwałtem konia niespokojnego. Gdzie tylko przejeżdżał przez ulicę, wszędzie lud pospolity klękał na kolana, i w głos Pana Boga prosił, aby Poniatowski zginął, a wojewoda zdrów powrócił. Taką miał miłość powszechną u ludzi wojewoda, a nienawiść podkomorzy, czyli raczéj matka jego, którą dla ponurego wzroku i surowości, pospolicie zwano gradową chmurą. Ona réj wodziła w domu i mężem rządziła. Ona była główną podnietą tego pojedynku, nie mogąc strawić owego twardego kąska, że syn jéj w pierwszym szwankował. Zawsze mu wymawiała: iż wstyd zrobił familij, owemi słowami upodlającemi: kocham Pana Wojewodę; że mając więcéj braci nie osierociłby domu, choćby sam zginął. Ztąd nienawiść ludu ku matce spływała na syna w życzeniu mu zguby. Ale się inaczéj stało.

Gdy stanęli na placu zaczęli rzecz najprzód od zwady o owe paszkwile, które dobyte z kieszeni wojewoda zatchnął na szpadę obiecując przybić je do serca podkomorzemu, czcząc go ostatniemi słowy: nieskąpił i podkomorzy dla wojewody podobnych karczemnych panegiryków, a tak cokolwiek jest w języku polskim słów uszczypliwych, obelżywych, grubijańskich, wszystkie na siebie z kolei wyexpensowali.

Wojewoda chciał koniecznie potykać się na szpady, podkomorzy zaś nie, tylko na pistolety. Gdy tak w złości ujadając się chwilę, żaden żadnego na swoję wolą przeciągnąć nie mógł; nareszcie wojewoda pozwolił na pistolety, a pokazując serce, metę od sekundantów wymierzoną na 20 kroków skrócił do pięciu. Na któréj stanąwszy pieszo, wypalili do siebie po dwa razy, obaj bezskutecznie, tylko któryś z nich przebiegającego przez plac pojedynku jakiegoś chłopa postrzelił. Wojewoda po dwoistem wystrzeleniu niedbając więcéj na sekundantów, ani na nikogo, rzucił się z szpadą na podkomorzego. Podkomorzy wzajemnie na wojewodę, po kilku sztychach i skokach ku sobie uczynionych; wojewoda pchnięty szpadą w samo serce w słowach o mon Dieu! chwytając się ręką za bok padł i umarł.

Podkomorzy bledniejąc z rany lekko po żebrach sobie zadanéj, porwany od swoich do karety, złożony w koszarach gwardyj konnéj nad Zdrojami, tam się kurował przez kilka niedziel. Rozruch wielki po Warszawie, płacz pospólstwa i przeklinanie Poniatowskiego sprawiły, iż się cała jego familia przez czas niejaki miała na ostrożności; dla tego i podkomorzego ranionego umieściła w koszarach, ażeby tam lepsze miał bezpieczeństwo od Gwardyi, któréj wojewoda ruski, wuj jego rodzony, był generałem: mianowicie iż rozumiano, że Tarło, wojewoda sandomirski, stryj zabitego, Pan burzliwy i zuchwały z Mikołajem P. starostą Kaniowskim, w żołnierstwo nadworne możnym, szałaputem koronnym, krwią z Tarłami złączonym, na stypę za nieboszczyka wojewodę, zechce zabić którego ciołka czyli Poniatowskiego (bo ciołek jest herb Poniatowskich); długo trwało takie mniemanie. Lecz nie przyszło do żadnéj rozterki krwawéj. Obróciły się partye do prawa, toczyła się przez kilka trybunałów sprawa. Skończyła się na grzywnach i wieży, którą podkomorzy koronny przez półroku w zamku warszawskim na gorze, nie in fundo, przy balach i kompaniach wesoło wysiadywał. Tarło wojewoda sandomirski w lat sześć po tym pojedynku umarł. Starosta Kaniowski małym tylko straszny i pod wiechami rycerz, nigdy się na domy Czartoryskich i Poniatowskich, które się trzymały w kupie i znaczyły jednym nazwiskiem familia, porwać nie odważył. Anusia przyczyna kłotni między familiami poszła za mąż do Węgier za grafa Esterchaczego, majętnego Pana.

Wiadomości z placu przyniesione do Warszawy dwoiste były; jedni mówili, że wojewoda, zaślepiony passyą, nacierając bez uwagi na Poniatowskiego, z jego ręki zginął. Drudzy twierdzili, że niejaki Korf, rodem Kurlandczyk, major w regimencie saskim generała Szybilskiego, sekundant w tym pojedynku podkomorzego wmięszawszy się między bijących pod pozorem dodawania serca, z pod ręki podkomorzego ranionego zadał sztych śmiertelny wojewodzie. Opinija czyniąca Korfa zabojcą była zawsze mocniejsza. Ale dekret trybunalski nie obwinił Korfa tylko podkomorzego; lubo i to pomnażało podejrzenie, że Korf po tym pojedynku wyjechał za granicę i nie powrócił do regimentu aż po skończonéj sprawie, choć wraz z podkomorzym był do trybunału pozywanym. Ponieważ ten pojedynek był publicznie, i doniosł się aż do konsystorza warszawskiego przez rekwizycye stron pojedynkować mających, aby spowiednicy mieli pozwolenie odebrać od nich spowiedź przed pojedynkiem sakramentalną, co bydź żadną miarą nie mogło, zatem konsystorz przeciwnie wydał rozkaz do wszystkich kaznodziejów warszawskich, aby ogłosili z ambon, iż ktoby się ważył znajdować na tym pojedynku wpadnie w klątwę papieską zarówno z tymi, którzy się pojedynkować będą. Lecz jakby na przekorę zwierzchności duchownéj połowa Warszawy wysypała się na niego, choć setny dla mnogiego tłoku nic nie

widział. Studenci nawet opuścili tego dnia szkoły, jedni dla przypatrywania się pojedynkowi, drudzy dla swawoli. Ze wszystkich bowiem, którzy biegali pod Marymont umysłem widzenia pojedynku, choć go nie widzieli, zdejmowano potém exkomunikę obrządkiem kościelnym w nuncyaturze i po klasztorach przez przełożonych do tego umocowanych, nikt nie był przyjętem do sakramentów przed zdjęciem klątwy. Z studentów zaś exkomunikę zdejmowali professorowie w szkołach batogiem Boczkowskim, każdemu który dnia pojedynku nie był w szkole, nie wchodząc w żadne wywody, gdzie był, po siedm plag odlewanych wyliczywszy. Wojewoda niemiał żadnego pogrzebu, lubo się mocno o niego u zwierzchności duchownéj starano. Ciało wywiezione z Warszawy gdzieś w dobrach schowano.«

Krytyka.

Historische Nachrichten über die Stadt Bromberg von der Gründung der Stadt bis zur Preußischen Besitznahme, von Dr. Ludwig Kühnast. Bromberg 1837. 8vo. stron. 155. (To jest: Wiadomość historyczna o mieście Bydgoszczy, od założenia tego miasta, aż do zajęcia go przez Prusy, zebrana przez Dr. Ludwika Kühnast. Bydgoszcz 1837. 8vo.)

Podrzędną rolę w dziejach Polski grało miasto, o którém nam Pan Dr. Kühnast w dziełku tém wiadomość historyczną podaje, mniéj też ważném jest dziełko jego od Historyi miasta Wilna. Ztémwszystkiém ponieważ autor korzystał, w części przynajmniéj, z archiwów miejscowych i w historykach naszych śledził to wszystko, co się do jego przedmiotu ściągało, dziełko jego ma rzetelną wartość historyczną, a lubo nie zbogaciło bardzo dziejów naszych, to przecież nie wystawiło cudzoziemcom fałszywego obrazu o miastach polskich w dawniejszych czasach. Dziwi nas przeto, że uczeni niemieccy, którzy wszelkie prace tego rodzaju należycie oceniać umieją i nieraz wiadomość historyczną o mieście jakiém tatarskiém albo chińskiém z wdzięcznością przyjmują, pracę Pana Kühnasta bardzo lekceważą. Pismo n. p. Gersdorfs Repertorium Nr. 24. pag. 523. z r. z. doniósłszy swoim czytelnikom w kilku wyrazach o wyiściu tego dziełka, nadmienia, że ono zająć może jedynie mieszkańców Bydgoszczy i to o tyle tylko, o ileby oni poznać chcieli dawniejsze dzieje tego miasta. Zaprawdę, nie poznaję w tém owéj gruntownéj krytyki niemieckiéj! Pismo: Danziger Dampfboot nie zastanawia w dziełku Pana Kühnasta nic więcéj, tylko nietrafny przekład wyrazu forte. Jest to drobiazgowość dziecinna i nie do pojęcia. Więc w piśmie, poświęconém badaniom historycznym, przysłowek tak wiele ma znaczyć! Nasz sąd o pracy P. Kühnasta będzie sprawiedliwszy.

Autor przebiega epokami dzieje miasta Bydgoszczy, przeplatając je wiadomościami o handlu, o zakonach, o mieszkańcach, żupie solnéj, cechach, rzemiosłach tego miasta i t. d. Tym sposobem zgromadził nieco szczegółów dosyć ważnych do historyi ogólnéj narodu. Mianowicie ciekawe są notatki jego o handlu Bydgoskim i o żupie solnéj. Nie korzystał autor przecież należycie z archiwum miejskiego, zwłaszcza z akt pisanych w polskim języku, ani też z archiwum grodu Bydgoskiego, które miał pod ręką. Niesłusznie zatém skarży się w przedmowie na brak materyałów, budując całą osnowę swego dzieła na kronice klasztoru bernardyńskiego, i zazierając kiedy niekiedy do przywilejów miejskich. Nie dziw więc, że nam nic nie mógł powiedzieć o zamku Bydgoskim, o mennicy, o ludności, chociażby tylko w sposobie przybliżonym, o liczbie domów, o Żydach, (Ciekawi bylibyśmy wiedzieć: czy Bydgoszcz należała do małéj liczby miast polskich, w których Żydom osiadać nie było wolno?) i t. p. Natomiast czytamy w dziełku jego obce zupełnie historyi Bydgoszczy rzeczy, n. p. o różnicy miast na prawie polskiém osadzonych od miast na prawie niemieckiém. Jeżeli wiadomość tę dla Niemców umieścił, nadaremnie się trudził; wiedzą oni bowiem dobrze o tém z Stenzla i innych. Niepotrzebném także jest w dziejach Bydgoszczy wyliczanie książąt, a zwłaszcza królów polskich, pod których berłem miasto to w rozmaitych epokach zostawało. Zamilczam o urywkowym sposobie, w jakim dziełko to jest napisaném, a co na czytelniku nieprzyjemne wrażenie robi. Wypłynęło to bowiem z planu napisania dziejów Bydgoszczy epokami, dla tego musiały się pokazać szczerby, których autor nie miał czém zapełniać, nie chcąc się uciekać, co też bardzo rozsądnie uczynił, do faktów ogólnéj historyi narodu. Te są główniejsze zalety i wady dziełka P. Kühnasta. Prócz wdzięczności za przysługę, którą historyi naszéj wyświadczył, obowiązani jeszcze powinniśmy bydź autorowi, że o nas pisał sine ira et studio, że nie naśladował Ukłańskiego i tylu innych, którzy złośliwie, co im ślina do ust przyniosła, o nas pletli. Wartoby przełożyć na język polski dziełko Pana Kühnasta; wszakże tłumacz musiałby uzupełnić jeszcze to, co zostało opuszczoném. *X.*

Przegląd czasopismów.

Siódmy Numer Pamiętnika Naukowego Krakowskiego.

(Dokończenie.)

Drugi naszém zdaniem najważniejszy artykuł w 7. numerze Pamiętnika Naukowego Krakowskiego jest krytyka Literatury i krytyki Grabowskiego; oto jéj treść:

»Pierwsze miejsce w szeregu umiejętności ludzkich słusznie przynależy się krytyce. Ona jest sumieniem literatury, bo w niéj dopiero życie nasze umysłowe przychodzi do reflexyi i wiedzy o sobie. Ztąd epoka, w któréj żyjemy, od jednego z filozofów niemieckich peryodem wiedzącéj się historyi nazwana, epoka przedewszystkiém reflexyjna, musiała najwięcéj sprzyjać rozwinięciu się krytyki. Nigdy też krytyka poezyi i historyi nie stała na tym stopniu udoskonalenia, co teraz; nigdy tak głęboko nie zapuszczała się w ro zumieniu moralnych zjawisk ludzkości.«

»Nienaśladownie piękny, świetny i poetycki język, a nadewszystko filozoficzne stanowisko, z którego autor zapatruje się na piśmiennictwo, zapewniają temu pismu jedno z pierwszych miejsc w szeregu dzieł krytyce poświęconych.«

Twierdzenie P. Grabowskiego, że zadaniem naszego wieku jest utworzenie poezyi narodowéj, prostuje wymowny i równie filozoficzny Referent w ten sposób: »że dawne czasy, choćby i lepsze były, chcieć teraz wskrzesić, byłoby próżném marzeniem, że trzeba więc pogodzić się z rzeczywistością i na własnych (rozumie tegoczesnych, obecnych) budować żywiołach; że przed oczyma naszemi dzieją się wielkie rzeczy, coby mogły natchnąć i rozpłonić duszę poety. Maszże być poezya nasza na zawsze grobowa, tylko echem pomierzchłego, dziś ledwie rozumianego czasu!« O tém byłoby wiele do mówienia! ale nie tu miejsce po temu.

Prócz wymienionych tu rzeczy, znajdują się jeszcze w wspomnionym numerze Listy Starożytnika Sławiańskiego, Zoryana Chodakowskiego, gdy po Rusi Czerwonéj śledził swoich horodyszczów i mogił, owych to naszych piramid i obelisków dawno upłynionych wieków; szczupły wprawdzie plon z ogromnych prac tego niezmordowanego badacza, tak wcześnie dla nauk zgasłego, ale szacowny, gdzie żadna odrobina uronioną być nie powinna.

Nareszcie obrona Grammatyki P. Muczkowskiego przeciw zarzutom w dziele Zochowskiego »Części mowy odmie-

niające się przez przypadki,« wydaném w Warszawie 1838., w któréj Jan z Oświecima przeważnie gromi grube błędy i niewczesne poprawki tego nowego grammatycznego reformatora.

Kończą ten numer »Dwie podróże Sobieskiego,« wydane przed kilku laty w Poznaniu. To zbyt późne doniesienie da się poniekąd usprawiedliwić brakiem literackich i księgarskich związków, z przyczyny których nieraz najszacowniejsze dzieła dopiero po kilku leciech ich pojawienia się, i to często przypadkiem, natrafiamy. Z.

Doniesienia literackie.

Dowiedzieliśmy się, że pewien z naszych literatów Wielkopolskich przełożył na język polski sławne dzieło włoskie: »*Ultime lettere di Jacopo Ortis*.« Życzyćby należało, aby szacowny tłómacz wkrótce raczył ogłosić drukiem to dzieło tak zajmujące, poetyczne i tak bardzo odpowiadające naszemu czasowi.

Maryet, najsławniejszy pisarz angielskich powieści morskich, znajduje się obecnie w Kanadzie; możemy się więc nowych Kanadyjskich romansów spodziewać. Ostatnie dzieła tego po Bulwerze najlepszego z żyjących romansopisarzy angielskich, są »*Ardent Troughton*« i »*Stary kommandor*.«

Leonard Chodźko wkrótce wyda Żywot Tad. Kościuszki.

M. Wołowski wydaje w Paryżu: *Revue de legislation et de jurisprudence*. Y.

Rozmaitości.

Anegdoty.

Dziwaczność Anglików objawia się równie w naukowym względzie, jak w domowém pożyciu. Piszący jechał przed kilku laty z takim oryginałem z Koła do Warszawy pocztą. Człowiek ten już podeszły w wieku, nie chciał z innymi podróżnymi wsieść do powozu, choć było miejsce, ale sam płaszczem z kitajki woskowanéj okryty, siedział na powozie wystawiony na deszcz i słotę. Był nadzwyczajnie małomówny i rzadko komu odpowiadał. Co gorsza głód nawet cierpieć musiał, gdyż przejąwszy od Braminów w Indyi, gdzie długo bawił, religijną zasadę, żeby mięsa nie jeść, karmił się tylko samą herbatą.

Był to poeta, pracował nad epopeją »Wyprawa Napoleona do Moskwy.« Chcąc tedy naocznie oglądać miejsca do jego opisu wchodzić mogące, umyślnie przybył do Europy — z Kalkutty.

*** Pan A., członek konwentu, wszedł raz jedyny na mównicę i zaczął mowę od wyrazów: »człowiek jest to zwierz,« tu uciął nagle, zmieszany widokiem tak licznego zgromadzenia. »Wnoszę,« odezwał się zaraz inny członek, »aby mowa obywatela A. była drukowana z portretem mówcy.«

Dressura gołębi w Indyach. Na wschodzie kwitnie najbardziéj sztuka dressowania gołębi. Majętni Mahometanie mają zawsze człowieka od gołębi, który się wyłącznie ich ćwiczeniem zajmuje, a te ptaki tak są uważne i posłuszne, iż słuchają komendy jak żołnierze. Tak n. p. wylatuje najprzód ze 20 brunatnych gołębi wolno na powietrze; stado to uważa w locie na każde skinienie lub głos swego komendanta, który ich obrotami dowolnie kieruje. Poczém wypuszczają białe gołębie, które pomieszawszy się z pierwszemi, pląsają wesoło razem po powietrzu, i zdaje się, żeby ich teraz rozłączyć nie można. Lecz skoro ich mistrz dał znak znajomy, natychmiast rozstępują się te dwie grupy podług koloru. Nie dosyć na tém; wypuszczają jeszcze i trzecie stadko niebieskiego koloru, z któremi się znowu razem mieszają. Wszystkie teraz latają razem: wzbijają się pionowo w górę, albo spuszczają na dół. Na hasło swego komendanta rozłączają się na trzy jednobarwne grupy i wykonywają zadziwiające ewolucye. Jedne wzlatują w górę, drugie na dół; jeden oddział rzuca się jak gdyby do boju na drugi, napadnięty otwiera swoją kolumnę, a atakujący przelatuje przez jsam środek. Po tych gonitwach każdy ptak udaje się do swego gołębnika, czyli raczéj klatki, gdzie obfity żer nagradza podjęte trudy.

Z Moguncyi piszą: wyszedł tu Almanach karnawałowy, przez Dr. Langenschwarz wydany. Mój Boże, do czego to przyszło! Tyle zachodów, aby się momencik zabawić, rozweselić, pożartować, do tego już osobnéj książki potrzeba! Serce otwarte, umysł swobodny, wesoły, dla ogółu wylany, wyrozumiałość wzajemna, łagodność, szczerość, to są przymioty potrzebne do zabawy, ale nie książka. Są pewne cnoty towarzyskie, których tylko z praktyki nauczyć się można; a my chcemy wszystkiego gruntownie z książek się nauczyć. Tracimy czas ten krótki na przygotowaniach, na przysposobieniach do życia, i jeszcześmy ich nie skończyli, a oto jużci życie minęło. Przypatrzmy się dzieciom: te, gdy się chcą zabawić zamkami z kart budowanemi, stawiają je na lada stoliku, lub pierwszém dogodném miejscu; mybyśmy zaraz szukali mocnego fundamentu granitowéj posady! Bierzemy nierozumni ukontentowanie, że użyję słów Adama, w kleszcze zimnéj rozwagi, siekamy i rozbieramy nożykiem rozsądku, nie pomnąc na to, że w czasie téj anatomicznéj operacyi każda obumiera rozkosz.

Myśli i Ucinki.

Znajduje się wiele ludzi, którzy dla tego tylko czytają, aby nie potrzebowali myśleć.

Nie powiadaj wszystkiego, co wiesz; ale wiedz zawsze, co mówisz.

Są czasy, które wymowniéj gadają, niż mądre książki.

Serce i rozum w walce podobne są do niezgodnego małżeństwa.

Kto chce doznawać rozkoszy przez namiętności, czyni podobnie, jak gdyby się chciał ogrzać szkłem palącém.

Nie sądź ludzi podług tego, co mówią, ale podług tego, co czynią. Zwracaj uwagę na małe rysy, nie na główne czyny, do których każdy w swym parodnym stroju występuje.

Żadne rozumne słowo, które kiedy mędrzec wyrzekł, żaden przykład, żaden promień, choć w najgrubszéj nocy, nie jest stracony. Nigdy krew niewinnego nie płynęła napróżno, każde westchnienie wznosi się do nieba: Rodzaj ludzki tworzy jednę całość, pracujemy i cierpiemy, siejemy i sprzątamy jedni dla drugich.

Człowiek charakteryzując innych, sam się najlepiéj charakteryzuje.

W życiu ludzkiém są właśnie lata krótkie, wieki ludzkie jeszcze krótsze, a życie najkrótsze; lecz dni są długie, godziny dłuższe, chwile zdają się niekiedy wiecznością.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca 4 Talary rocznie przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski*. Czcionkami *W. Deckera i Spółki*.